



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Józefa Bartnicka

Dziewczynka z czarnymi warkoczami

Nad całym moim dzieciństwem zaciążyła wojna, bieda i pijaństwo ojca (wiem o tym doskonale, ale mimo to jest mi przykro, kiedy widzę to tak napisane czarno na białym). Byłam jednym z czworga (narodzonych) dzieci moich rodziców. Kochali nas na pewno niezwykle. Matka służyła na przychodne po całych dniach, prała po nocach, przed Gwiazdką siedziała do rana i robiła zabawki na choinkę. Właściwie głównie dla niej wstąpiłam do partii, a właśnie Ona nie może mi darować, że „wyzbyłam się Boga”. Ale to sprawy zbyt intymne. A ojciec? Kiedy wracał z pracy podmiejską kolejką, wybiegaliśmy do niego na zakręt przed stacją, wyrzucał nam czekoladki. Kolejka z Warszawy-Grochów do Karczewa – była przepiękna (dziś już zlikwidowana, co komu szkodziło to śliczne muzeum). Opowiadał nam o ogrodzie na Frascati, gdzie stróżował w nocy na budowie, jak o krainie czarów. Nawet kiedy ojciec strasznie krzyczał i nawet kiedy walił w głowę mojego brata – kalekę, gdy nie rozumiał arytmetyki, wiedziałam (choć miałam wtedy sześć lat), że robi to tylko dlatego, że bratu będzie (jemu właśnie, choremu) jeszcze ciężiej w życiu bez nauki. Praca ojca w Warszawie kończyła się, kiedy wpadał w trans pijacki. Trwało to różnie, a potem na dłużej lub krócej zasiadał na szewskim stołku, a mama już na całe dni wychodziła na przychodne. I pamiętam doskonale jeden taki dzień z ojcem bez mamy. Nie chodziłam jeszcze wtedy do szkoły, mogłam więc mieć najwyżej sześć lat. Matka zamknęła drzwi po cichutku, żeby mnie nie obudzić, ale ja usłyszałam i z bekiem zerwałam się z łóżka. Waliłam do drzwi i płakałam (zupełnie dziś nie wiem, dlaczego), aż ojciec krzyknął – Przestań, ty idiotko! Potem zamiatałam mieszkanie (jedna izba na sześć osób + stare buty do reperacji). Już po skończeniu sprzątania kazał mi jeszcze wymieść spod łóżek i doskonale pamiętam, że świadomie nic tam nie ruszałam, licząc, że ojciec nie zauważy. I w końcu obierałam kartofle, co było najgorsze ze wszystkiego i trwało niesłychanie długo. Gotował ojciec. Pamiętam też Żyda Berka z ulicy Handlowej, który przychodził do ojca po odbiór butów robionych z jego materiałów. Berek miał chałat, brodę i jarmułkę. A buty w jego sklepie, które robił mój ojciec, były na pewno lepsze niż wszystkie dzisiejsze.

Kiedy zaczęła się wojna miałam lat dziesięć. Przeżyłam ją w sposób typowy dla mojego pokolenia, ale jednocześnie obfitujący w sytuacje, o których na ogół nie pisze się w książkach o wojnie. Choć wojna zaważyła w sposób decydujący na całym moim przyszłym życiu, na rozwoju fizycznym i strukturze psychicznej, to jednak mogę dziś z całą pewnością stwierdzić, że nie przeżywałam jej wówczas nawet tak tragicznie, jak teraz. Może dlatego, że byłam jeszcze bardzo młoda i głupia, nie uświadamiałam sobie całej grozy tego, co przeżywaliśmy. Pamiętam jednak doskonale, że moja paka koleżanek jakoś podświadomie zamykała oczy na ówczesną rzeczywistość. Miałyśmy pewność, że wszystko skończy się prędko, miałyśmy jakiś azyl w marzeniach i cudowne przekonanie, że wszystko to jakoś nas

nie dotyczy. Ja tak naprawdę zaczęłam się bać dopiero po wojnie. Odchorowałam lekturę. „Wielkiego Cienia” Pytlakowskiego (przeczytałam tę książkę pół roku temu i z miejsca oddałam Kalinie, żeby nawet nie trzymać jej w domu). A teraz chcę zapomnieć, że była wojna, że może być wojna, chcę myśleć o jutrze, żyć na serio.

* * *

W Miedzeszynie znaleźliśmy się w czasie wojny po spaleniu w 1939 roku oficyny na Marszałkowskiej 90, w której ojciec robił buty i my mieliśmy jakiś ką. Już nie pamiętam jaki. Tylko widzę tę budę – szopę w Miedzeszynie nieogrzewaną i nas śpiących na szmatach na ziemi. Potem Mama dostała tam wymarzony pokój z kuchnią 23 m² (dla 6 osób!) w zamian za obowiązki dozorca w willi znajomego lekarza w Falenicy i tu przyszedł po Ojca żandarm niemiecki z polskim policjantem już w grudniu 1939 roku. Ojciec był notowany na jakichś listach po uwięzieniu po jakimś strajku i demonstracji PPS. Nie był członkiem tej partii, ale sympatykiem. Zetknął się z socjalistami w Niemczech, dokąd wyjechał na saksy jako piętnastoletni chłopiec (syn kowala z dziewięciorgiem dzieci po 3 żonach) ze wsi pod Płońskiem. Pamiętam, że żandarm włożył gruby paluch do bańki z powidłami Mamy produkcji i zabrał tę bańkę. Ojciec był w jakimś przejściowym obozie w Mińsku, gdzie w pudełku po radiu dostał trochę zupy, po czym uciekł i... wrócił do domu, bo nikt jeszcze nie znał niemieckich „porządków”. No i następnym razem wylądował już w Woldenbergu, ale najpierw siedział na Pawiaku. Mama po grypie z ostrym zapaleniem ucha szukała sposobu, żeby go uwolnić, co się nie udało oczywiście. Mama z ropą w głowie i gorączką ponad 40 stopni leżała w łóżku i w mróz chciała wybiegać w koszuli na dwór, a my płakaliśmy i modliliśmy się. W końcu obudzony krzykiem nieprzytomnej Mamy weterynarz sprowadził jakąś karetkę. Wylądowała w szpitalu Św. Ducha, gdzie nieoceniony dr Szymański uratował ją trepanacją czaszki, ale głódówka nie sprzyjała rekonwalescencji. Sprawa się odnowiła i tylko dzięki znajomym lekarzom wyszła z tego po drugiej operacji. Potem jeszcze zachorowała na tyfus i prawie cały okres okupacji spędziła w szpitalach.

Bez Ojca i Matki nasza czwórka była zostawiona samym sobie, bez żadnych zasobów materialnych, bez zaplecza rodzinnego, bez życzliwych sąsiadów czy przyjaciół. Głodowaliśmy straszliwie. Marzliśmy okropnie. Z., który po chorobie Heinego-Medina w wieku lat 3 przestał chodzić, mówić – i po wielu zabiegach leczniczych trochę wrócił do zdrowia, ale pozostała mu bezwładna prawa ręka i niedowład prawej nogi – we wrześniu poszedł jeszcze do szkoły i po paru dniach wrócił posiniaczony. Jakis chłopak zaczął się na niego w krzakach i wołając „A mam cię, kochasiu, chodź kulasie”, tłukł, ile chciał. Ojciec przed aresztowaniem zdążył się jeszcze zacząć na tego „kochasia”, któremu chyba odechciało się potem bicia słabszych na całe życie. Tak go sprął. No, ale później Z. już tylko leżał w nieopalonym mieszkaniu i dosłownie umierał z głodu, ręka mu zupełnie uschła, chodzić też nie mógł. I gdyby nie ukochani nauczyciele z Palenicy (o czym dalej), umarlibyśmy wszyscy, a nie poprosili nikogo o nic, nawet o chleb, a tym bardziej nie ukradli, bo tak byliśmy wychowani przez Ojca i Matkę. Kiedy potem w pracy płaciłam 50 groszy za użycie telefonu służbowego w sprawie choroby Mamy, wzbudziłam huraganowy wybuch śmiechu. Mama przed śmiercią w szpitalu na noszach kazała mi oddać 10 groszy, jakie była winna w sklepie warzywniczym.

Wracając do okupacji. Dzięki nauczycielom dostawałam potem dzbanek zupy dla nas (po powrocie Mamy ze szpitali też) z jakiegoś RGO (nie wiem, co oznacza ten skrót)[†]. Nie słyszałam później o tej instytucji, a myślę, że należy jej się jakaś monografia, bo ratowała ludzi od śmierci głodowej. Pamiętam, że jedna z opiekunek nazywała się Staszewska. Ksiądz Sylwester Szulczyk z Wilna, od którego dostaliśmy to drzewo brzoźowe (do dziś pamiętam jego zapach, jak płonęło w żelaznym piecyku-kozie), był Mamy krajanem i adorującym go parafiankom nakazywał pomagać nam. Stąd pamiętam świąteczne wielkanocne śniadanie u aptekarzy Zawadzkich, których córka Myszka chodziła ze mną do jednej klasy szkoły powszechnej w Falenicy. Ona była wobec mnie w porządku, delikatna, cenila też moją pozycję prymuski w szkole, ale inni koledzy, którzy widzieli, jak szoruję podłogi w aptece i w Kasie Chorych, używali sobie, ile wlezie. Oni też krzyknęli kiedyś na lekcji mojego ukochanego nauczyciela Krysiaka – „komunista”, a potem jego zabrało gestapo. Byli i inni wspaniali nauczyciele w tej falenickiej szkole powszechnej nr 7 – Świtalscy (ona bardzo przystojna), Nałęcz (później dyrektor gimnazjum), Stajudowie i mój ukochany nauczyciel rysunków – Ptak, a także ukochana wychowawczyni pani Haczyńska, której syna i męża rozstrzelali Niemcy za Cegielną w Falenicy.

Ojciec był „socjalistą”, a Mama bardzo pobożną (ale bez dewocji) córką organisty i siostrzenicą księdza w podwileńskiej wsi. Babcia Katarzyna z domu Rodziewiczówna, dziadek Antoni Szpakowski-

[†] Rada Główna Opiekuńcza – działająca legalnie w czasie okupacji polska organizacja samopomocy; prowadziła działalność społeczną, charytatywną i kulturalną (przyj. red.)

Paszkowski. Nigdy ich nie widziałam. Mimo różnic światopoglądowych i pijaństwa Ojca (z biedy) rodzice kochali się do śmierci.

Mama modliła się za Ojca, a on nigdy złośliwie z niej nie żartował. Nie wiem, jak to było dokładnie, ale nawet jacyś koledzy Ojca przemieszkowali u nas (krótko) za okupacji i po wyzwoleniu zgłosił się do Mamy niejaki „Franek” (podobno Loga-Sowiński) z propozycją renty dla zasłużonych, ale Mama przegnała go ze strachem. I kiedy znalazła wzmiankę (później już) o aresztowaniu także znajomego Ojca – który walczył w Hiszpanii – niejakiego Robaczewskiego, powiedziała nam z triumfem, że odżegnując się od znajomych Ojca ocaliła nas od kłopotów. Sama była do śmierci zastraszona tym, co stało się z jej rodziną. Miała siedmiu braci i siostrę. Połowa z nich została wywieziona przez Rosjan i przepadła bez śladu. Jeden żonaty z Żemajtysówną, też nauczycielką, zabrany był z żoną ze szkoły tak, jak stali. Tylko ich dzieci uciekły przez Rygę do Chicago z ciotką Romanowską, siostra odnalazła się w Szkocji po wyjściu z mężem z Armią Andersa, a brat najstarszy w Monachium. Wszyscy odnaleźli się w tym samym roku 1970, kiedy to po raz pierwszy po wielu latach z parafii Mamy (gdzie kościół został zamieniony na skład zboża) dostaliśmy adres brata Mamy w Monachium. Myślałam, że Mama oszaleje z radości. On umarł na wosnę i napisała Mamy siostra Maria, pamiętam jakoś tak: „Ty, Adelciu, jesteś najszczęśliwsza, masz dzieci, a ja jestem sama, jak ten ptak na dachu”. Mama miała do niej jechać do Szkocji 15 września, ale 4 września rano powiedziała nam, że Maria przyszła do niej w nocy i już umarła. I rzeczywiście, dostaliśmy depezę. Mama nasza umarła też w tym samym roku, 1970, 28 października.

Wpoila nam, a potem przede wszystkim ukochanemu wnukowi, mojemu synowi, niezłomne zasady uczciwości, życzliwości dla innych, obowiązek pomagania bliźnim w każdej sytuacji. Pozbawiła mojego synka kłów i pazurów. Życie stało się dla niego grą bez partnera – nie umiał się bić w gronie, w którym był najsilniejszy, najmądrzejszy, najbardziej wysportowany i wykształcony. Kiedy Mama umarła, powiedział do nas (do mnie i męża): „Babcia miała takie poczucie godności, do jakiego wy nie jesteście w stanie nawet się zbliżyć”.

Tak się złożyło, że po wyjściu za mąż i wyjeździe starszej siostry zostałam jedyną opiekunką moich dwóch braci – starszego o rok Z., który miał zanik mięśni prawej ręki i nogi i młodszego o rok O. Zanim zaczęli się nami opiekować obcy ludzie, nie jadaliśmy nieraz po trzy dni absolutnie nic, tylko piliśmy gorącą wodę. Zasiłku urzędowego nie wystarczało nawet na wykupienie całego głodowego przydziału naszego brukowca na kartki. Wydawało nam się tak naturalne i oczywiste, że każdy troszczy się o swój los, że nie przyszło nam nawet do głowy, żeby zwrócić się o pomoc chociażby do mieszkających w tym samym domku sąsiadów, którym wiodło się przez całą wojnę świetnie. Sąsiad był weterynarzem, badał mięso z nielegalnego uboju i pobierał „próbki” mięsa. Oni też nie interesowali się naszym losem, a nikt więcej w tym domu nie mieszkał.

W związku z sąsiadem przypomniała mi się jeszcze jedna historia z okresu wojny. W czasie jakiejś przerwy w Matki chorobach odwiedzał ją w domu mały, zaropiały Samuel, syn znajomej śledziarki z ulicy Handlowej i dostawał zupy albo cokolwiek było akurat do zjedzenia. Któregoś dnia zauważył to weterynarz, kopnął chłopca w brzuch (mimo to malec przyszedł już na drugi dzień, tylko w nocy, musiał być strasznie głodny), a matkę skrzyczał, że przez nią zabierze nas wszystkich gestapo. Mój młodszy brat O. cisnął w weterynarza kamieniem, a ten gonił go z pasem po podwórku, żeby zbić, ale O. uciekł.

Ale postanowiłam jak najkrócej potraktować wojnę – o której można nieskończenie, więc, już przechodzę do naszej historii.

Zostaliśmy więc sami. Ja z młodszym bratem O. chodziłam do szkoły i dostawaliśmy tam raz dziennie zupę, baliśmy się tylko niedziel, ale najbiedniejszy był chory brat. Przestał chodzić do szkoły dlatego, że kierownik uderzył go głową o ścianę, kiedy nie odrobił arytmetyki, a dzieci były go teczkami i nazywały kulasem. Miarą głodowania mojego brata może być fakt, że kiedy znalazłam w piwnicy stary zeschnięty burak, to wyrwał mi go z ręki i zjadł na surowo, zanim zdążyłam go otrząsnąć z piasku. Wszystko zmieniło się od czasu, kiedy zajął się nami nauczyciel od rysunków. Zawsze, przez cały okres okupacji i na uczelni byliśmy z bratem „prymusami”, ale ten nauczyciel lubił nas szczególnie. Mnie namawiał bardzo na naukę rysunków twierdząc, że mam „wyczucie proporcji, koloru i przestrzeni”, a O. chwalił za „logiczny i jasny umysł”. Pewnego dnia spytał mojego braciszka, dlaczego chodzi do szkoły boso w styczniu. O. odpowiedział: „ciepło mi”. Taki był bohater!. A zauważywszy na moich rękach rany od odmrożenia, kazał mi iść do domu, uważając, że w szkole jest za zimno. Tymczasem w domu nie paliliśmy w ogóle przez całą zimę i chory brat wcale nie wychodził spod czerwonej, bez powleczenia pierzyny Mamy. Wtedy się rozplakałam, ale głównie dlatego, że ominie mnie zupa i wyjąkałam coś o domu. Od tej pory dostawaliśmy jeszcze raz na dzień zupę z opieki społecznej, z RGO, ksiądz zorganizował nam niedzielne obiady u jakichś „dobrych pań”, które musieliśmy całować w rękę, za co je zniecierzyłam, i odstąpił swój przydział drewna. Pamiętam do dziś zapach tych polan drewna brzoźowego w żelaznym piecyku. Ja zaczęłam myć podłogi w aptece, u lekarza i w wielu innych domach. Koledzy w szkole wyśmiewali się ze mnie.

Z tego okresu pamiętam też wydarzenie, które dla mnie osobiście (obok dwóch innych) jest najgorszym przeżyciem z okresu wojny. Było to chyba w lutym 1941 roku. Mróz około -30 stopni. Wracałam od doktora z ubezpieczalni, gdzie przez cały dzień szorowałam podłogi i na koniec smażyłam placki kartoflane na oliwie. Na swoje szczęście dużą część zapomniałam osolić i dzięki temu niosłam je teraz do domu. Po drodze zauważyłam małą grupkę ludzi. Podeszłam. W środku, na gołym śniegu, siedział chłopak – kaleka. Miał nogi owinięte gałganami, czerwoną twarz, kurtkę na gołym ciele. Trząsał się. Znałam go. Miał lat 15. Przychodził do nas na początku wojny rąbać drewno i dostawał coś za to, chociaż mogliśmy robić to sami, ale jego lubiliśmy. Był absolutnym sierotą, chociaż formalnie miał rodziców. Urodził się jako nieślubne dziecko. Potem matka wyszła za męża nie za jego ojca. Kiedy matka umarła, ojciec-nieojciec ożenił się ponownie. I ta właśnie macocha wypędziła go teraz na dwór, bo miał tyfus, a ona miała swoje dzieci. Trząsał się okropnie, bo miał gorączkę, ale nie to było najgorsze, tylko to, że wokół niego stali sami dorośli, mówili o tym, co się dzieje, odchodzili i nic nie robili. Jedna pani dała mu gorącej zupy w metalowym pudełku, żeby me zarazili talerza. Chciałam mu oddać placki, ale pożałowałam mojego chorego brata który nic nie jadł. Często mi się potem śnił ten chłopak, jak tak siedział i patrzył wkoło. Uciekłam. Wieczorem powiedziałam o nim O. Dostał on od kogoś chleb z serem. Postanowiliśmy przyciągnąć chłopca jakoś do nas i za karę, że pożałowaliśmy mu placków, oddać mu ten chleb. Ale on już umarł na tym śniegu wśród ludzi. Chyba po prostu żywcem zamarzał.

Przeżyłam potem wiele wstrząsów, jak chociażby widok katowanego w szkole Wehrmachtu żydowskiego chłopca, ale od tamtego zdarzenia zaczęło się w moim życiu wszystko najgorsze. Bo wtedy mogłam pomóc, a nie zrobiłam tego. Trochę czułam się usprawiedliwiona, że jak dorośli nic nie robili, to dlaczego ja...? Ale jednocześnie zdawałam sobie doskonale sprawę, że to podłość.

Handel pieczywem w latach 1942-1943 to w Falenicy źródło (nędznego) utrzymania wielu naszych znajomych i nasze. Bardzo trudno było jednak o chleb. Przed słynną w Falenicy piekarnią Wawra kolejki tworzą się już w nocy, a można kupić tylko określoną ilość pieczywa – bułek czy chleba. Toteż stoi w tej kolejce cała nasza rodzina, tzn. poza Ojcem, który jest w obozie – Mama w czasie jakiejś przerwy między szpitalami i cała czwórka dzieci z Z. – kaleką włącznie. Pamiętam taką scenkę jesienią 1941 roku. Zimno, jesteśmy okutani w jakieś łachy, Mama błąda po trepanacji czaszki, ledwo stoi na nogach i nagle doskakuje do niej tłusty, wysoki, czerwony na twarzy znany w okolicy łobuz – handlarz Henio, szarpie Mamę za łokieć i woła: „Wynocha z kolejki, ty Żydówo!”. Myślałam, że świat się zaraz zawali, ale stałam tchórzliwie skulona i mc, a O. – mój młodszy brat, wówczas 7-latek, płacząc szarpał go za ubranie, a moja piękna siostra (16 lat) podskoczyła i trzasnęła bandziora w tłusty pysk. Po czym szybko zaczęła wdrapywać się na mur otaczający piekarnię (brama była zamknięta, uchylał ją pomocnik piekarza tylko wtedy, kiedy wpuszczał odliczoną liczbę szczęśliwców, dla których starczało chleba na sprzedaż). Do dziś pamiętam osłupienie na gębie bandziora i ryk, jakim skwitował ten policzek. Pewnie go nawet nie poczuł, ale taki publiczny wstyd! Pamiętam też grozę, jaka mnie ogarnęła, kiedy niezgrabnie, jak niedźwiedź grizzly, zaczął się drapać na ten mur, za którym zniknęła już moja siostra H., a Mama z płaczem ciągnęła go za nogę i prosiła: Ludzie, pomóżcie. I pomogli – ściągnęli „Henia” z plotu, a kiedy zaczął walić w bramę i grozić, że pójdzie po gestapo, piekarz go zwymyślał. Podobno Henio czekał do rana i pół następnego dnia na moją siostrę, ale jej koleżanka, córka piekarza Wawrówna, wypuściła ją drugą furtką.

Po utworzeniu w Falenicy getta kupowało się bułki w znajomej piekarni żydowskiej na ulicy Handlowej za torami. Dziś jeszcze przy nowym murowanym domu stoi taka drewniana przybudówka (wówczas nazywało się ją „sionką”), do której pukałyśmy z H. w umówiony sposób. Młoda dziewczyna, której rodzice znali moją Mamę, wpuszczała nas do środka, brała pieniądze i odliczała kajzerki. Boże, jak one pięknie pachniały, jakie były chrupiące. Raz tylko zjadłam jedną i do dziś pamiętam poczucie winy. Nie wchodziłyśmy do getta pod szlabanem za przejazdem kolejowym, gdzie stały posterunki niemieckie, tylko przez wille od strony Michalina. Ja w ciemności nocy nigdy bym tam sama nie trafiła, ale H. trzymała mnie za rękę. I raz była łapanka. Usłyszałyśmy gwizdki i szwargot Niemców przy piekarni. Zaczęłyśmy biec na oślep. Wpadłyśmy do piwnicy domu zburzonego w 1939 roku, naciągnęłyśmy na siebie jakieś deski i przesiadziałyśmy do rana nasłuchując odgłosów obławy, a raz słyszałyśmy tupot buciorów i szwargot tuż nad naszymi głowami. Modliłyśmy się, żeby nie było psów. Może i były, ale nie wytropiły nas. I okropny lęk przed wyjściem z tej dziury na światło dzienne. Jakoś się udało. Tego dnia H. nie pojechała do Warszawy z pieczywem. Ja zawsze tylko jej pomagałam donieść kajzerki na stację w Michalinie i wracałam już legalnie po aryjskiej stronie toru kolejowego pieszo do domu w Falenicy, a potem szłam do szkoły. Z H. jeździła jej najlepsza przyjaciółka, Janka B., która wozila ciastka pieczone przez jej mamę, czasem mięso, a czasem nawet bimber. One nie były głodne, a nasza trójka – O., Z. i ja dosłownie umierała z głodu. H. dostawała obiad u „cioci Józi” na Marszałkowskiej, po sprzedaniu bułek szła z Janką do średniej szkoły (jakieś technikum odzieżowe). Pamiętam jeden jej powrót wieczorem, kiedy za cały posiłek przywiozła dla naszej trójki torebkę budyniu w proszku, który ja ugotowałam na wodzie (bez mleka i cukru) i nie wiedziałam, jak to

podzielić. Był wtedy u nas chłopak siostry (z AK), który zaraz potem się z nią ożenił (miała lat 17, on – 22) i zabrał ją do swojej ciotki, gdzie się wychowywał – do Michalina.

Wkrótce po tej awanturze przed piekarnią Mama znów znalazła się w szpitalu na ponownej trepanacji czaszki, a my byliśmy tak obdarci, że żadne z nas nie było na ślubie naszej pięknej siostry, żeby nie kompromitować jej przed rodziną męża ze wsi. Mama po powrocie znów zachorowała – dostała tyfusu plamistego i znalazła się w szpitalu zakaźnym w Otwocku. Córka sąsiadki, która też tam leżała, przyszła do nas i opowiedziała, że nasze matki są straszliwie głodne, bo po tyfusie jest apetyt. I wtedy po raz pierwszy w życiu (i chyba jedyny) ukradłam marchewkę zza płotu od sąsiada, ogrodnika. Ugotowałam na wodzie, bez soli i tłuszczu (bo nie mieliśmy) i upiekłam piernik – z mąki owsianej przydziałowej, którą wyrzuciła (na szczęście w opakowaniu) weterynarzowa i z marmolady (też przydziałowej). My nie mieliśmy pieniędzy, żeby to wykupić na kartki. Oddaliśmy je więc matce mojej koleżanki szkolnej J. K., która trochę nam zostawiła. Pamiętam, jak kiedyś opowiedziałam jej, jak marzę, żeby zjeść kawałek razowego chleba i ona dała nam pół przydziałowego „brukowca” (jak się nazywało razowy chleb z kasztanami).

Z tą marchewką i „piernikiem”, którego kawałek dostał Z., wybraliśmy się z moim braciszkiem O. do szpitala do mamy w Otwocku. Był grudzień 1940 czy 1941 roku. Mróz ponad –20 stopni. Szliśmy oczywiście z Falenicy do Otwocka na piechotę. Ja miałam skądś drewniane trepy, O. nogi owinięte szmatami. Mama i sąsiadka w szpitalu z ogolonymi głowami. Jak się dostaliśmy na salę, już nie pamiętam, odwiedziny były zakazane. Mama połknęła dosłownie tę marchewkę i nagle zrobiła się afera – skąd w szpitalu zakaźnym dzieci. Jakaś pielęgniarka zaczęła krzyczeć po niemiecku i poleciała po strażnika. Wtedy sąsiadka i inne chore pomogły Mamie spuścić nas z okien wysokiego parteru. Przez dziurę w płocie (nie przez bramę), jak nam kazały, przedostaliśmy się do lasu i podreptaliśmy do domu. Już później dowiedzieliśmy się, że dzieci innej chorej po prostu niemiecki strażnik zastrzelił, żeby nie roznosiły zarazy. Wtedy wracając z Otwocka wstąpiliśmy do siostry, która już wyszła za męża i mieszkała u ciotki swego męża w Michalinie. Pamiętam, że ta ciotka smażyła kotlety schabowe, których nie widzieliśmy już parę lat. H. dała nam po kawałku chleba (wiejskiego na liściach chrzanowych) ze smalcem (O. schował połowę dla Z., ja też) i powiedziała coś do ciotki o kotletach, a ta ją oburknęła, że ma już „jedną dziadówkę do karmienia” (ją właśnie). I wtedy O. powiedział, że „nie jesteśmy już głodni”, bo żal mu było H. i wstyd za tę ciotkę. Gdyby był jej męż..., ale on wysadzał pociąg gdzieś pod Celestynowem.

* * *

Moje koleżanki chwaliły się, że roznoszą gazetki. Ja się bałam, ale niewiele mnie właściwie to wszystko wówczas obchodziło. Miałam swoje poważniejsze zmartwienia.

Mój młodszy brat handlował za okupacji papierosami i pieczywem w kolejce wąskotorowej, kursującej z Warszawy-Grochów do Karczewa, utrzymując całą rodzinę. Pomagałam mu w tym. Przychodziło mi to wtedy z łatwością, bo byłam mała, chuda, zabiedzona, wyglądałam na niewiele ponad 10 lat. Mieliśmy wówczas też swoje chwile „bohaterskie”. Raz np. wkrótce po ruszeniu kolejki z Wawra, ustawieni samorzutnie po drodze koło pi. Szembeka ludzie krzyczeli, że na Grochowie łapanka. O. wyskoczył w pełnym biegu, złamał sobie szczękę i wybił zęby. Żeby się Matka nie zdenerwowała, umył się w bufecie na stacji wodą sodową, co go strasznie szczypało. Ja stchórzyłam i pojechałam dalej. Na Grochowie psy, żandarmi. Jeden wyrzucał kobiecie z torby po bochenku chleba, kobiecina jak oczadziła schylała się po każdy wyrzucony bochenek, wtedy żandarm śmiejąc się wytrącał go jej z ręki uderzeniem pejcza, a ona dalej robiła to samo jakby zupełnie zwariowała. Ja miałam plecak wypchany tytoniem, myślałam, że nic mnie już nie uratuje, bałam się tylko, żeby nie zabrali mnie na roboty. Stałam w rogu między płotem i budynkiem stacyjnym na oczach wszystkich i przestałam tak zmartwiać bez ruchu ponad trzy godziny. Wszyscy mnie ominęli. Potem spostrzegłam, że plecak ukrył się doskonale w tym rogu, a paski schowane były pod szalowym kołnierzem starego palta Matki.

Tak zarabialiśmy po powrocie Matki ze szpitala, ale teraz zaczęłam się buntować. Zrobiłam się nagle duża i pełna. W niedzielę jeździli pociągiem moi koledzy z gimnazjum tajnego, do którego zaczęłam uczęszczać za okupacji. Ciągłe zaczepiali mnie mężczyźni, konduktorzy, wyrostki. Nigdy w życiu nie odważyłabym się powiedzieć o tym Matce. Uważałam, że to widocznie moja wina. Przesiedziałam kiedyś całą niedzielę na skwerku, a potem powiedziałam, że nie mogłam nic sprzedać, ale się wydało i dostałam po buzi. Przestałam jednak handlować.

* * *

Szkołę powszechną skończyłam w Falenicy w 1942 roku na samych piątkach. Przed końcem roku Niemcy zabrali do Mauthausen mojego ukochanego nauczyciela – Krysiaka, nazywanego „komunistą”. Uważam sobie to za zaszczyt, jak mówią bohaterki Brandysa, że odważyłam się sprzeciwić klasie

i zostałam kiedyś sama jedna „parszywa owca” na dodatkowej, prowadzonej dla nas przez niego tajnej lekcji historii Polski.

Zacząłam chodzić do szkoły handlowej na Bagateli 12 razem z najbliższą przyjaciółką. Marzyłam o medycynie od czasu, jak zaczęłam myśleć, ale tajne gimnazjum w Falenicy było bardzo drogie. W połowie roku przyszedł do nas mój dawny kierownik szkoły podstawowej i powiedział Matce, że Komitet Rodzicielski i Rada Pedagogiczna tajnego gimnazjum w Falenicy (prowadzonego przez nauczyciela Nałęczę), biorąc pod uwagę moje „wyjątkowe zdolności”, zdecydowały się na ufundowanie stypendium dla mnie. Matka sprzeciwiła się stanowczo (uważała, że po handlówce łatwiej dostanę posadę), a ja jakoś tak byłam przekonana, że muszę pracować na rodzinę, że nie odważyłam się nawet dyskutować z nią, żeby nie myślała, że chcę się od tego wymigać.

Po Powstaniu szkoła nasza przeniosła się z Bagateli do właściwego swojego gmachu na Górnoszląską róg Rozbrat (na zapleczu gimnazjum Batorego) i nosiła nazwę: Państwowe Żeńskie Gimnazjum Kupieckie. Nauczycielki wpały w nas przekonanie, że możemy i powinniśmy być dumne z naszego gimnazjum i o jego honor bardzo dbały. Na lekcjach historii rozkładałyśmy zeszyty od towaroznawstwa. Pani od reklamy była bardzo elegancka mimo okupacji i powtarzała nam ciągle: „panienki – nos do góry”, dbała o nasze maniery i jaką taką higienę. To właśnie z nią miałyśmy lekcję, którą nagle przerwała, kazała nam wstać i pomodlić się, a w ciszy usłyszałyśmy strzały z ulicy Pięknej, gdzie rozstrzelano zakładników, a wśród nich naszego nauczyciela Wędrowskiego. (To jemu na jakiejś lekcji, kiedy powiedział, że sacharyna nic nie daje, zaprzeczyłam, że owszem – chwilę przyjemności, a on postawił mi plus.) W ścianie kamienicy, pod którą zostali rozstrzelani, utkwiły kule. Dziś jest już rozebrana, stoi tylko niski murek i tablica.

Prawie obok naszej szkoły na Bagateli była słynna Aleja Szucha, zastawiana zawsze zasiekami z drutu kolczastego i z posterunkiem gestapowca pod bronią. Wycie karetek budziło grozę. Geografii uczyła nas prawdziwa dama – pani Petrażycka (żona słynnego podróżnika i ministra). Ona też podyktowała nam listę wartościowych książek do czytania i pomagała je zdobyć. Do dziś pamiętam pożyczony od niej „Krzyk dzikich gęsi” Marty Ostenzo, pierwszego Londona i... Petrażyckiego. Wycho-wawczyni nasza – sama dobroć – chemiczka Tomaszewska. Stenografka – „Urbanka”, Jadwiga Urbanowicz, bardzo czuła na punkcie naszego honoru klasowego, ostrzyżona po męsku, zawsze w granatowym fartuchu, budziła we mnie grozę, chociaż dostawałam zawsze piątkę (i nikt poza mną). Krzyczała – wbrew zwyczajom tej szkoły – żeby ściąć warkocz, a miałam długie, lśniąco, czarne włosy, grube jak koński ogon – bo będę miała wszy. Znienawidziłam ją. Przedtem uczył w tej szkole stenografii sam Karol Irzykowski, a później, już mnie też, safandula Alfred Łaszowski (z „Dzienników” Nałkowskiej). Była też jednoreka (chyba po jakimś wypadku) i chyba garbata polonistka Komornicka, której też się bałam, ale to ona już po wojnie znalazła mój debiut w „Młodym Zawodowcu” i bardzo pozytywnie na głos w klasie zrecenzowała. Przedtem zresztą też czytała we wszystkich klasach moje wypracowanie o potrzebie sprawiedliwości społecznej. Ta szkoła – nieodżałowana w porównaniu z dalszym ciągiem mojej edukacji – miała wspaniałe tradycje. W roku 1945 przeniosła się do dawnej siedziby na Górnoszląskiej róg Rozbrat. Przybył jeszcze wspaniały ksiądz Jabłonka i sporo nowych nauczycieli, a ja chodziłam tam jakiś czas pieszo z Dworca Wschodniego, bo tylko do tego dworca dochodziły pociągi z Falenicy. Na początku towarowe zresztą. Potem sadziłyśmy park na Powiślu, gdzie dziś są takie wspaniałe drzewa.

* * *

Za późno zabrałam się za pisanie tych wspomnień (częściowo zresztą przepisywanych ze starego, sentymentalnego pamiętnika). Mam już tylko 40 minut na wysłanie w terminie. Dołączę więc jeszcze napisane później opowiadanie na podstawie opowieści mojej przyjaciółki o wydarzeniu z jej życia w roku 1944, które znalazłam w zeszycie z pamiętnikiem. Tytuł: Rondel.

Rondel

Coś tam ktoś mówił, że jeszcze siedzą w kucki na polanie za elektrownią, gdzie ich rano Niemcy zgonili. Ktoś powiedział, żeby wody, bo taki upał, a oni od rana siedzą z odkrytymi głowami. A Michał krzyknął, że on by tak nie czekał, tylko porwał się na żandarmów i lepiej zginął. Nauczycielka z naszego domu jęczała: „Boże, i chorzy, i takie małe dzieci. Kto nie nadąży, tego zabijają”.

Niewiele z tego słuchałam. Bawiłyśmy się z Wiśką, moją koleżanką szkolną, w dom. Wiśka dostała wczoraj lalkę, jakiej w życiu nie widziałam. Miała prawdziwe włosy i była „śpiąca”. Wiśka wyrwała mi ją co chwila zazdrośnie z ręki i wciąż tylko kazała urządzać dom z mchu, piasku i kamieni.

Wieczorem ojciec poleciał z wodą na rampę, gdzie stały wagony towarowe, do których ładowano Żydów. „Na roboty” mówiła matka. Zaraz wrócił, zasłonił okna i skrzyczał nas wszystkich.

Na drugi dzień Maryśka od Zielińskich dźwigała już trzecią porcję rzeczy z getta. Co chwila słychać było strzały Niemców, ale widocznie nie pilnowali tak ostro, jeżeli Maryśka mogła wynieść na raz dwie koldry, dwie poduszki, tak że nawet głowę jej mało co było widać spod tych betów. Nauczycielka znów płakała:

– Jezus, Maria, co oni robią. Hieny... Tam przecież jeszcze nawet ludzie nie zginęli... Zakrzyczeli ją Karwowscy, którzy razem z nami przyglądali się Maryśce:

– Pani, nie wezmę ja, to weźmie drugi. Dlaczego ja mam nie skorzystać?

– Jak to: „nie zginęli?” Jak już pojechali, to zginęli. A tym, co tu leżą i tak nic już nie pomoże.

Matka mówiła:

– Władek, patrz, dwa futra przyniósł Wirecki. A tylko stoisz, ciamajdo!

Ojciec najpierw splunął, a potem zawołał na mnie:

– Mirka, chodź ze mną. Na takie dziecko nie będą patrzyli.

Teraz matka jakby się zawahała. Powiedziała:

– A co tam. Może już nie chodźcie. Żyliśmy tyle lat, to i jakoś dalej będziemy żyli. A już dziecka ani mi się waź! Ale co tam podobno złota!

„Polecę z Wiśką” – postanowiłam. Pobiegłam do niej. Wymknęła się ze mną po kryjomu, bo matka pewnie by jej nie puściła. Przy szlabanie za torem, który podzielił nasze miasteczko w roku 1940 na dzielnicę skazanych nieodwołalnie Żydów i dzielnicę mających jeszcze szansę przetrwania „aryzcyków” – stali żandarmi. Naprzeciw nich tłum, z którego w różnych miejscach odrywała się jakaś figurka i usiłowała wbiec między opuszczone domy getta. Wtedy żandarmi strzelali i śmiejąc się głośno krzykali: „Komm, komm” do następnych.

Pobiegłyśmy z Wiśką polami od strony kościoła. Było tu zupełnie pusto, ani ludzi, ani żandarmów. Niektóre drzwi nędznych drewnianych domków były starannie pozamykane na kłódkę.

– Patrz, pewnie oni myśleli, że jeszcze wrócą – powiedziała szeptem Wiśka.

– Bo pewnie wrócą, jak odpracują te swoje roboty – odpowiedziałam również szeptem.

– Gdzież tam, roboty! To ty nie wiesz? Przecież trują ich gazem w Oświęcimiu i Treblince. Słyszałam, jak matka rozmawiała z księdzem.

Zrobiło mi się strasznie. Rozejrzałam się dokoła. Pusto. Na piaszczystej, nie brukowanej drodze leżały stare szelki, resztki pierza. Chętnie bym uciekła z powrotem, ale Wiśka pociągnęła mnie za rękę.

– Chodź, wpadniemy tylko na bazar.

Pamiętam niejasno sprzed wojny, że były tu zawsze góry jabłek, pomarańczy, a nawet bananów, ryb i mięsa – w jakichś klatkach drucianych, w których uwijali się ludzie. To przeważało. „Gdybym znalazła pomarańczę, to bym nawet ukradła” – pomyślałam zdecydowanie.

Pobiegłyśmy w stronę bazaru. Po drodze mijałyśmy już pootwierane szeroko drzwi i nawet powywalane okna, ale nie miałyśmy jakoś chęci zaglądać do tych domów. Na widok ulicy Handlowej doznałam lekkiego wstrząsu. Pamiętałam ją niejasno sprzed wojny jako jedyną miejską, całkowicie murowaną ulicę naszego miasteczka. Stały tu ciasno obok siebie wysokie piętrowe domy, w których gnieździły się niezliczone żydowskie sklepiki. Tu kupowało się ulika na kolację i nafty za 10 groszy. Tu cała nasza rodzina wyprawiała się po Michała pierwsze szkolne ubranko. Z wielkiej dzielnicy zostało teraz tylko kilka wypalonych, murowanych domów i trochę nędznie skleconych drewnianych budek. Racja, przecież część Handlowej spaliła się od nalotu już we wrześniu 1939 roku. Wybuchy co chwila zapasy nafty z tysiąca drobnych sklepików, a matka pocieszała nas, że przez tory pożar nie dojdzie. Wokoło było teraz pusto i cicho, tylko z daleka dochodził gwar i pojedyncze strzały.

– Boisz się, widzę, że się boisz – zadrwiła Wiśka. Była o rok starsza ode mnie. Miała już dziesięć lat.

– Wcale nie – odpowiedziałam ze złością, chociaż zaczęły mi się właśnie trząść kolana.

Stałyśmy już przed ocalałym od pożaru budynkiem, w którym mieścił się bazar. Była to nieco dziwna, murowana, okrągła budowla ze szklanym dachem w górze. Trochę mi zawsze przypominała kościół. Wiśka złapała mnie za rękę i pociągnęła do środka.

Góry śmieci, ciemnawo, jakieś cegły, kawałki drewna, papiery, żadnych pomarańczy – to było pierwsze, co zauważyłam. A potem ogarnęło mnie niesamowite uczucie, że ja to nie ja i że to wszystko jest tak na niby, a nie dzieje się w rzeczywistości. Ale spojrzałam na Wiśkę i zobaczyłam, że ona też się boi. I dopiero ten strach, jaki spostrzegłam na jej twarzy, uprzytomnił mi, że wszystko jest naprawdę. Chciałam krzyknąć i biec przed siebie, ale coś ścisnęło mi gardło i pętało nogi.

Naraz Wiśka powiedziała głośno i rzeczowo.

– Zajrzyjmy do piwnic, tam na pewno jest zakopane złoto.

Pomyślałam: „za nic”, a głośno powiedziałam:

– Chcesz, to sobie zajrzyj, a ja widzę tu zupełnie nowe garnki. Weźmy po jednym i już, dobrze?

Były to czerwone, emaliowane, żelazne rondle z długą rączką. Do domu gnałam szczęśliwa, że już coś mam i mogę wracać. W rękę ścisnęłam mocno ucho rondla. Miałam poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Wykonałam, co mi kazali rodzice.

W furtce spotkałam się z ojcem. Trzymał w ręku związaną sznurkiem pocerowaną, czerwoną poduszkę bez powłoczki, z której rozdartego rogu wsypy wyglądało pierze. Kazał mi to zabrać od siebie. Kiedy gramoliłam się z tą poduchą, a pierze leciało i leciało, ojciec walnął mnie nagle w plecy i krzyknął, żebym wrzuciła to do śmietnika. A potem jeszcze wyrwał mi z ręki błyszczący, nowiutki rondel i cisnął go w ślad za poduszką. Pomyślałam mściwie: „Dobrze, dobrze, powiem to mamie”.